Artur HUTNIKIEWICZ

TRZY UNIWERSYTETY

Czym jest uniwersytet polski w jego stanie obecnym? Jest swoistą hybrydą, w której egzystują pewne szczątkowe relikty dawnej europejskiej formacji, a jednocześnie tkwi on nadal w sztywnym gorsecie, w którym uwięziono go w latach stalinizmu.

Swoje uwagi o stanie współczesnego uniwersytetu polskiego chciałbym rozpocząć od przypomnienia jednej z wcześniejszych wypowiedzi Jana Pawła II zawartej w ankiecie, rozpisanej przed kilku laty przez Katolicki Uniwersytet Lubelski, na temat „żywotnych tradycji uniwersytetu europejskiego". W ankiecie tej wzięło udział wielu uczonych z różnych uniwersytetów, reprezentujących różne dyscypliny, kierunki badań i szkoły naukowe. We wszystkich tych głosach uderzał jednak znamiennie, nie zaprogramowany przecież przez organizatorów ankiety, consensus omnium w jednej sprawie zasadniczej, którą na wstępie najzwięźlej ujął właśnie Papież. Istnieje jeden – jego zdaniem – „nieusuwalny rdzeń, który decyduje o istnieniu uniwersytetu". Tym nieusuwalnym rdzeniem, bez którego uniwersytet przestałby być sobą, „jest społecznie twórczy stosunek do prawdy". On stanowi o tym, że dana szkoła jest uniwersytetem, a nie tylko szkołą. Uniwersytet jest oczywiście szkołą, ale szkołą specyficzną, w której nauczanie i uczenie się jest organicznie powiązane z uprawianiem nauki. Podmiotami tego twórczego uprawiania nauki i współposzukiwania prawdy są profesorowie i studenci, ale profesorowie „nie jako ci, którzy przekazują prawdę", a studenci „nie jako ci, co ją choćby krytycznie przyjmują", lecz jedni i drudzy „spotykają się jako wspólnie dochodzący do prawdy".

W świetle tych słów, których wymowa jest tak oczywista, że nie wymagają one żadnych długich uzasadnień, warto się zastanowić, czy współczesny uniwersytet polski spełnia ten warunek, bez którego przestaje być właściwie sobą, choćby się nawet oficjalnie uniwersytetem nazywał. Otóż twierdzę, że nie, a w najlepszym wypadku spełnia w sposób bardzo niedoskonały.

Współczesny uniwersytet polski jest chory. Jeśli więc rozważania te nie mają być jeszcze jedną przysłowiową dyskusją akademicką, po której wraca się do codzienności i wszystko zostaje po staremu, trzeba, jak sądzę, zacząć od tego, od czego zaczyna się z reguły wszelkie postępowanie lekarskie: od uświadomienia sobie etiologii schorzenia i od postawienia właściwej diagno-

zy. Bez wykonania tych dwu czynności jakakolwiek kuracja pacjenta jest niemożliwa. Dlatego zacznę od faktów i od tych doświadczeń, jakie zgromadziłem w ciągu dość długiej już pracy w służbie uniwersytetu.

Były trzy uniwersytety w moim życiu. Ich krótkie choćby porównanie uwydatni, jak sądzę, sprawę, o którą mi chodzi i którą uważam za najistotniejszą. Moim pierwszym uniwersytetem był Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, mój uniwersytet macierzysty, któremu głównie zawdzięczam swoją formację intelektualną i moralną. Byłem jego studentem, a także początkującym asystentem w latach 1934-1939 i miałem to szczęście, że w nim jeszcze udało mi się skończyć studia i uzyskać dyplom magistra z jego pieczęcią. Ze względu na zakres nauk, jakie w nim uprawiano, był istotnie „uniwersalny", zgodnie ze swą nazwą, bo „universitas" oznacza nie tylko wspólnotę profesorów i studentów, ale i całkowitość wiedzy na danym etapie jej rozwoju, a także otwarcie dla wszystkich, którzy tej wiedzy poszukują. Był uniwersytetem pięciowydziałowym, w którego strukturę obok Wydziałów Humanistycznego, Prawa i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych, wchodziły też – jako część integralna uniwersytetu – Wydziały Lekarski i Teologii, a więc całość wiedzy współczesnej we wszystkich jej podstawowych dziedzinach.

Poziom nauk i jakość samej procedury kształcenia gwarantowała profesura, w której ręku niemal wyłącznie spoczywała całość dydaktyki uniwersyteckiej. Pozycja profesora sytuowała się w tamtym czasie na najwyższym szczeblu uznania i społecznego szacunku. Selekcja kandydatów do katedr uniwersyteckich była surowa i opierała się na zasadzie ogólnokrajowego konkursu, z którego był wyłaniany kandydat najwybitniejszy, zaakceptowany przez gremium profesorów. Toteż skład osobowy mego macierzystego uniwersytetu zawierał w sobie mnóstwo nazwisk o rozgłosie nieraz europejskim i światowym, by wymienić przykładowo jedynie takich uczonych, jak Władysław Abraham, Ludwik Ehrlich, Juliusz Makarewicz, Kazimierz Przybyłowski, Stanisław Grabski (z prawa i ekonomii), Rudolf Weigl, Jakub Parnas, Tadeusz Ostrowski i Adam Gruca (z Wydziału Lekarskiego), Kazimierz Ajdukiewicz i Roman Ingarden, Jerzy Kuryłowicz, Mieczysław Gębarowicz i Karolina Lanckorońska, Jan Czekanowski, Juliusz Kleiner, Mieczysław Kreutz i Witold Taszycki, Stanisław Zakrzewski i Ludwik Kolankowski (z Wydziału Humanistycznego), Stefan Banach i Hugo Steinhaus, Leon Chwistek, Wojciech Rubinowicz, Włodzimierz Trzebiatowski i Stanisław Kulczyński (z Wydziału Nauk Matematyczno-Przyrodniczych), ks. Aleksy Klawek, ks. Józef Umiński, ks. Szczepan Szydelski i ks. Adam Gerstmann (z Wydziału Teologicznego). Uczeni ci stwarzali tę szczególną atmosferę intelektualną, która decyduje w istocie o randze uniwersytetu.

Uniwersytet lwowski, jak wszystkie zresztą w tamtym czasie polskie szkoły wyższe, był instytucją autonomiczną w sensie zarówno formalnopra-

wnym, jak naukowym. Przysługiwał mu przywilej eksterytorialności, posiadał całkowity samorząd w zakresie badań naukowych i organizacji studiów. Istniały jedynie najogólniejsze ramy programowe wspólne dla wszystkich uniwersytetów, ale wypełnianie tych ram zależało wyłącznie od uznania i indywidualnych zainteresowań profesora. Studia nie miały więc nic ze szkolarstwa, przypominającego niższe stopnie kształcenia, były to studia samodzielne, organizowane w zasadzie przez samego studenta według jego własnych zainteresowań i możliwości, pod kierunkiem swobodnie wybranych profesorów. Obowiązujące pensum zajęć ustalone było na takim optymalnym poziomie, który umożliwiał istotnie samodzielne studiowanie. Student dysponował więc na tyle sporą ilością czasu, że mógł sobie pozwolić na rozwijanie i pogłębianie własnych poszukiwań, pasji i zainteresowań poznawczych, na pracę w bibliotekach, na rozległe lektury i dyskusje, na czynny udział w życiu intelektualnym młodzieży akademickiej. Egzaminy zdawało się w sesjach dowolnie wybranych przez studenta. Ta samodzielność w organizowaniu sobie przez samą młodzież programu studiów wymagała oczywiście w wysokim stopniu autodyscypliny, ale ówczesne władze uczelni traktowały też studentów jako ludzi dorosłych, dojrzałych i odpowiedzialnych, wydobywały z nich po prostu tę dojrzałość przez pozostawianie ich samym sobie, przez wrzucanie niejako na głęboką wodę. Była to znakomita szkoła wychowania, doskonale przygotowująca do przyszłego, w pełni już samodzielnego i odpowiedzialnego życia.

Skupiając w ramach organizacji uniwersyteckiej wielu wybitnych uczonych, dysponując wysokim potencjałem talentów i uzdolnień badawczych, Uniwersytet Jana Kazimierza pełnił z natury rzeczy funkcje instytucji, której działalność kulturotwórcza wykraczała daleko poza wąsko rozumianą uprawę nauk: był ośrodkiem przyciągania i promieniowania, sprawował swoisty, co prawda nieoficjalny, ale bardzo realny patronat nad szkołami niższego stopnia poprzez udział swoich docentów w nauczaniu w szkolnictwie średnim, przez popularyzację osiągnięć wiedzy w szeroko rozbudowanym systemie powszechnych wykładów uniwersyteckich.

Świadomość wyjątkowości powołania wytwarzała w obrębie samej społeczności uniwersyteckiej poczucie silnych wewnętrznych więzi personalnych, owej universitas professorum et scholarum, opartej na wspólnocie dążeń, tożsamości celów i metod, na cechowej solidarności i nierzadko nawet na związkach uczuciowych między mistrzami a wychowankami. Na podłożu tej silnie odczuwanej więzi środowiskowej powstawały nie tylko szkoły naukowe i kierunki badawcze, ale rozwijała się zarazem spontanicznie niejako naturalna potrzeba niezależności, studencko-profesorskiego samorządu, nie w celu odgradzania się od reszty świata, lecz dla ochrony i zabezpieczenia optymalnych warunków realizacji wyjątkowych powołań środowiska. To wszystko razem składało się na świadomość szczególnej godności uniwersy-

tetu, jako instytucji powołanej do spełniania najszczytniejszych aspiracji człowieka.

Drugi uniwersytet, jaki mogłem od środka i z bliska poznać, był wytworem dramatycznych wydarzeń roku 1939: wkroczenia Armii Czerwonej na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej i włączenia ich do [– – – – –] [Ustawa z dn. 31 VII 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Uniwersytet lwowski rozpoczął nowy rok akademicki 1939/40 z kilkutygodniowym opóźnieniem, ale w innym już zupełnie kształcie i pod inną nazwą. Uniwersytet Jana Kazimierza przemianowany został na Lwiwśkyj Derżawnyj Uniwersytet Iwana Franka [– – – – –] [Ustawa z dn. 31 VII 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Zmieniła się bardzo istotnie jego struktura. Zlikwidowany został oczywiście Wydział Teologiczny, wyodrębniony w osobną, samodzielną jednostkę organizacyjną i na wzór sowiecki przemianowany w Akademię Medyczną Wydział Lekarski. Wydział Humanistyczny podzielono na dwa odrębne wydziały: Historyczny i Filologiczny. Większość profesorów Polaków, zwłaszcza na tzw. wydziałach „ideologicznych" (prawa, humanistyki, historii), została usunięta z zajmowanych dotychczas katedr, a ich miejsce zaczęli zajmować bądź nauczyciele lwowskich szkół średnich narodowości ukraińskiej, bądź wykładowcy nasłani z głębi Ukrainy i Rosji. Z nielicznymi wyjątkami, takimi jak bardzo już wiekowi wówczas uczeni ukraińscy z austriackiej jeszcze Galicji: Cyryl Śtudynskyj, Mychajło Woźniak czy Iwan Krypiakewycz, byli to wykładowcy bez żadnych wyższych stopni naukowych i bez żadnego dorobku, co było zresztą zgodne z zasadniczym charakterem ówczesnego sowieckiego szkolnictwa uniwersyteckiego, będącego w istocie raczej formą przygotowania zawodowego, niż instytucją badawczą sensu stricto. Uwidoczniło się to natychmiast w rażąco szkolarskim systemie i organizacji studiów. W istocie była to szkoła niewiele się różniąca od średniej, podzielona na kursy, a więc jakby klasy, z codzienną, wielogodzinną, przymusową i ściśle kontrolowaną „odsiadką" studentów na tzw. „lekcjach", odbywanych jak w szkole w porządku ciągłym, z kilkuminutowymi przerwami. Jedyną formę nauczania stanowiły wykłady o charakterze kursowym, nie było żadnych ćwiczeń, seminariów, referatów pisemnych i prac dyplomowych. Nie istniała żadna potrzeba samodzielnych studiów i poszukiwań w bibliotece, wystarczyło z własnych notatek przyswoić sobie formułki wykładowcy i powtórzyć je na egzaminie. Program wykładów był ściśle określony, nie dający najmniejszych możliwości osobom wykładającym wyrażenia jakichkolwiek opinii własnych, odchylających się od ustalonej urzędowo interpretacji. Kursowość i werbalizm jako zasada, ideologiczna poprawność jako principium nie pozwalały na szersze i bardziej indywidualne rozwinięcie jakiegokolwiek tematu, sprowadzając wykład do powtórki podręcznikowych

formułek. Integralnym i nietykalnym składnikiem programu studiów na wszystkich bez wyjątku kierunkach był blok przedmiotów ideologicznych; marksizm-leninizm, ekonomia polityczna, dzieje ruchów proletariackich i „święta księga", podstawowe źródło mądrości i obowiązujący elementarz światopoglądowy: *Krótki kurs historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii bolszewików,* dzieło napisane częściowo przez Stalina i pod jego osobistym nadzorem. Egzaminy i zaliczenia egzekwowane były w ściśle określonych terminach, bez żadnych możliwości wyboru czy przesunięć, przemieniając się zresztą w obustronną fikcję na podstawie milczącej umowy między studentem a egzaminatorem, który bardziej był zainteresowany pomyślnym wynikiem egzaminów, ponieważ rozliczano go głównie z tzw. sprawności nauczania. Zdołałem poznać cały ten mechanizm w ciągu trzech lat jako student Wydziału Historycznego (mimo ukończenia polonistyki przed wojną), co – jak wszyscy zresztą Polacy ówcześnie we Lwowie studiujący – traktowałem jako względnie najdogodniejszy sposób na przeżycie, na przeczekanie. [– – – – –] [Ustawa z dn. 31 VII 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Moim trzecim uniwersytetem stał się Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, w którym pojawiłem się jesienią roku 1946. Był to wciąż jeszcze okres pionierski, czas budowania struktur podstawowych uczelni, przepływu osób. Uniwersytet toruński nawiązywał oczywiście do struktur przedwojennych, przekazanych tradycją. Miał być instytucją przede wszystkim naukową, cały zaś proces kształcenia i wychowywania studentów powierzony był wyłącznie profesurze. W tych pierwszych latach powojennych uniwersytet toruński zdołał pozyskać wielu uczonych o ustalonej pozycji naukowej oraz wielu młodych, ówcześnie jeszcze asystentów, ale świetnie się zapowiadających, którzy istotnie mieli w okresie późniejszym zająć znaczące stanowiska w nauce. Genealogia tej profesury wywodziła się ze środowisk przedwojennych, głównie z Wilna i Lwowa, ale sporo też było profesorów z innych ośrodków: z Krakowa, Poznania i z Warszawy. Z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie przybyli m.in. Tadeusz Czeżowski, Henryk Elzenberg, Mieczysław Limanowski, Konrad Górski, Stefan Srebrny, Jan Prüffer, Władysław Dziewulski i Wilhelmina Iwanowska; ze Lwowa – pierwszy rektor i organizator uniwersytetu Ludwik Kolankowski, Eugeniusz Kucharski i Zygmunt Czerny, Eugeniusz Słuszkiewicz, Kazimierz Sośnicki, Kazimierz Hartleb, Bronisław Włodarski, i prawnicy – Karol Koranyi, Wojciech Hejnosz, Michał Wyszyński i Władysław Namysłowski; z Krakowa – Henryk Szarski, Józef Mikulski, Jan Zabłocki; z Warszawy – Tadeusz Makowiecki, Karol Wiktor Zawodziński, Aleksander Jabłoński; z Poznania – Karol Górski i Rajmund Galon. Start w tej obsadzie był więc znakomity, otwierał perspektywy stworzenia na terenie pozbawionym dotychczas tradycji uniwersyteckich ośrodka naukowego na najwyższym poziomie. Programy i system studiów nawiązywały oczywiście do norm i stosunków przedwojennych.

Ten stan rzeczy został brutalnie zakwestionowany i poddany generalnej rewizji na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Dla przybysza ze wschodu, jakim byłem i który przywoził stamtąd doświadczenia całkowicie nie znane kolegom z centralnych i zachodnich regionów Polski, było od początku wiadome, że rozpoczyna się nie żadna „reforma" ustroju i systemu uniwersytetów w imię „unowocześnienia", lecz totalna stalinizacja nauki i kultury polskiej. Mechanizm podporządkowania działał ściśle według wzorów, które tak dobrze znałem z doświadczeń lwowskich, aż do formy indeksów włącznie. A więc relegowanie niewygodnych profesorów, których światopogląd i koncepcje naukowe uznano za nie do pogodzenia z roszczeniami jedynej oficjalnie zadekretowanej i obowiązującej ideologii i metodologii. Ich miejsce w coraz szerszym zakresie zaczęli zajmować tzw. zastępcy profesora, o nikłym dorobku naukowym i bez żadnych perspektyw na karierę uniwersytecką w normalnych warunkach przedwojennych. Jednocześnie zaczęło się werbowanie nowego narybku asystenckiego według kryteriów wyłącznie ideowych i politycznych. Badania naukowe zostały odsunięte na dalszy plan, a na czoło zadań wysunęła się dydaktyka o wyraźnym nakierowaniu doktrynalnym. To miało być najistotniejsze: wychowanie pokolenia, które nie powinno było myśleć krytycznie, lecz przyuczone reprodukować uległe opinie i poglądy ustalone i zatwierdzone odgórnie. Rozpoczął się jednocześnie demontaż uniwersytetu i systematyczne ograniczanie jego uprawnień dydaktycznych. Zlikwidowany został Wydział Prawa, Wydział Humanistyczny, na którym było początkowo 11 kierunków, zredukowano do dwóch: historii i filologii polskiej. Na większości ocalałych kierunków ograniczono studia do trzyletniego kursu zawodowego, bez możliwości ubiegania się o stopień magistra. Uniwersytet zepchnięto świadomie do poziomu półwyższej szkoły przysposobienia zawodowego o wąsko pragmatycznych zadaniach. Dydaktyka została ujęta w rygorystycznie kontrolowany porządek o kilkustopniowej strukturze: starostowie grup studenckich, opiekunowie grup i lat, prodziekani i prorektorzy do spraw dydaktycznych. Ścisły nadzór rozciągnięto zwłaszcza nad tą częścią ocalałej z pogromu profesury i asystentury, której postawę uznano za niepewną i podejrzaną; inwigilacja i donosicielstwo stały się normą. Funkcje „kontrolne" ze szczególną żarliwością „rewolucyjną" pełniły też osławione, a wzorowane na wielkich zakładach przemysłowych, tzw. narady produkcyjne, na których manipulowani w kulisach młodzieńcy z ZMP ostro krytykowali profesorów za „reakcyjne", „wsteczne", nie nadążające za „postępem" poglądy.

Ten ponury okres skończył się pozornie jesienią roku 1956. Pozwolono na powrót do zajęć dydaktycznych niektórym usuniętym poprzednio profesorom, przystąpiono do odbudowy Wydziału Prawa, wprowadzono wybory władz uczelnianych, zrezygnowano z nazbyt ostentacyjnych i drastycznych form inwigilacji politycznej. Te „odwilżowe" nastroje okazały się jednakże

rychło tylko manewrem taktycznym, zastosowanym dla uspokojenia napięć społecznych. Gdy cel osiągnięto, okres względnej autonomii skończył się szybko powrotem do centralistycznego modelu administrowania. Rok 1968 zaostrzył jeszcze te tendencje, wprowadzając niczym już nie osłoniętą dyktaturę nomenklatury. Najjaskrawszym przykładem tego, nie liczącego się zupełnie z opinią środowiska dyktatu, były masowe mianowania docentów bez habilitacji. Dążenia do rewindykacji utraconych w okresie stalinizmu praw i pozycji zostały ostatecznie zablokowane. Lata siedemdziesiąte niczego w tym zakresie nie zmieniły, lecz wręcz przeciwnie, pogłębiły i utrwaliły sytuację impasu. Okres posierpniowy okazał się tylko epizodem [– – – – –] [Ustawa z dn. 31 VII 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Czym więc jest uniwersytet polski w jego stanie obecnym? Jest swoistą hybrydą, w której egzystują pewne szczątkowe relikty dawnej europejskiej formacji (studia pięcioletnie, wykłady monograficzne, seminaria i prace dyplomowe), a jednocześnie tkwi on nadal w sztywnym gorsecie, w którym uwięziono go w latach stalinizmu. Coraz mniej profesorów w składzie osób nauczających, a wśród profesury coraz mniej indywidualności wybijających się ponad przeciętność. Uniwersytet jest wciąż instytucją naukową bardziej z imienia i pozorów niż rzeczywiście. Dyskusje na temat konieczności zintensyfikowania aktywności badawczej w wielu kręgach środowiska spotykają się z ostentacyjną niechęcią i przyjmowane są niemal jako obraza osobista. Podnoszą się publicznie głosy wzywające do „uproszczenia" rzekomo nazbyt skomplikowanej procedury awansów i powrotu do doświadczeń „marcowych". Doktoraty wloką się niemal aż do ostatniej godziny ustawowego ośmiolecia, habilitacje rozciągają się na dziesiątki lat, wnioski awansowe kandydatów do profesury natrafiają na trudności z powodu braku znaczącego przyrostu prac naukowych. Uniwersytet polski starzeje się gwałtownie, ponieważ rośnie stale liczba adiunktów o dwudziestoletnim i dłuższym stażu z marnymi widokami na habilitację. Rozrost zajęć dydaktycznych do monstrualnych rozmiarów, z dominującym nad nimi nietykalnym blokiem tzw. przedmiotów ideologicznych i pedagogicznych, paraliżuje całkowicie możliwość samodzielnych studiów, a w efekcie rozwój osobowości studentów. Współczesny student polski nie ma szans swobodnego wyboru osób, pod których opieką pragnąłby studiować, ponieważ kieruje się go w trybie biurokratycznym do określonych grup i wykładowców. Nie studiuje, lecz staje się biernym obiektem pedagogicznych manipulacji rozmaitych początkujących asystentów lub zupełnie naukowo bezczynnych wiekuistych adiunktów lub „marcowych" docentów. Gdy po trzech latach takiego przerzucania go z rąk do rąk przez osoby, których kwalifikacje do wykładania z katedry uniwersyteckiej są dość wątpliwe, staje wreszcie wobec możliwości swobodnego wybrania sobie seminarium magisterskiego, niepewny swych nabytych w tym

szkolarskim systemie umiejętności szuka sobie patrona naukowego, o którym sądzi, że u niego będzie najłatwiej. W ten sposób uniwersytet przestaje być tym, czym być powinien: instytucją naukową powołaną do poszukiwania prawdy i do uprawiania badań na najwyższym poziomie, na wszystkich obszarach ludzkiej dociekliwości oraz szkołą kształcenia jednostek twórczych, zdolnych nie tylko do prostego reprodukowania nabytej wiedzy, lecz i do jej dalszego rozwijania i bogacenia. Jest w istocie zakładem produkcyjnym o anachronicznej strukturze, wypuszczającym w świat raczej kiepsko przygotowanych praktyków na użytek szkolnictwa i administracji. To partnerstwo w poszukiwaniu prawdy, w którym Jan Paweł II widzi istotę uniwersytetu, staje się w istniejącym systemie nieosiągalne. Oczywiście w różnych uczelniach i na różnych kierunkach rzecz rozmaicie się przedstawia. Uniwersytety o starszej, ustalonej tradycji, zasobne w indywidualności naukowe o znakomitych nazwiskach, a więc zdolne zapewnić sobie swym autorytetem pewną przestrzeń wolności, potrafią bronić się skuteczniej, choć i one duszą się w owych systemowych ograniczeniach. W uczelniach młodszych, które startowały po wojnie w warunkach nieustającej eksperymentacji i zmienności swego składu personalnego, rzecz przedstawia się niekiedy tragicznie, i to tym bardziej, że ustępuje z każdym rokiem i odchodzi na zawsze pokolenie uczonych, które swą formację umysłową zdobyło jeszcze w warunkach uniwersytetu przedwojennego.

Jakie jest wyjście z tego stanu rzeczy? Indywidualne poczynania najbardziej nawet godne uznania i szacunku są tu oczywiście niewystarczające. Konieczne jest rozbicie i odrzucenie nie mających żadnego uzasadnienia we właściwej uniwersytetom polskim tradycji obcych struktur, narzuconych im w latach stalinizmu i trwających do dzisiaj. Konieczna jest głęboka reforma, ale zaprojektowanie i przeprowadzenie tej reformy od początku do końca należałoby powierzyć samym uniwersytetom, które udowodniły niejednokrotnie w przeszłości i teraźniejszości swą autentyczną troskę o poziom i przyszłość kultury narodowej. Środowiska naukowe wiedzą najlepiej, czego potrzeba nauce i jak kształcić młodzież, ponieważ one właśnie tworzą naukę i wychowują następców. Reforma powinna pójść przede wszystkim w kierunku przywrócenia uniwersytetom pełnej autonomii w zakresie programowania i organizowania studiów, przyznania stanowczego priorytetu badaniom naukowym, jako podstawowej funkcji każdej instytucji akademickiej, w kierunku likwidacji nadmiaru obowiązkowych zajęć i przedmiotów w myśl starej i wypróbowanej zasady non multa, sed multum, w kierunku większej elastyczności programowej i zindywidualizowanej rozmaitości, stwarzających studentom możliwości wyboru i gwarantujących im czas na studia samodzielne, kształcące krytycyzm i aktywny, twórczy stosunek do wiedzy. Sprowadzenie zajęć obowiązkowych do rozsądnych rozmiarów pozwoliłoby zredukować stan liczbowy kadry nauczającej, poddać istniejący skład osobowy

uniwersytetów wnikliwej i merytorycznej ocenie, eliminującej jednostki, których obecność w środowisku pracowników nauki jest nieporozumieniem. Redukcja programów nauczania pozwoliłaby też przekazać ponownie całą procedurę kształcenia i wychowywania młodzieży w ręce profesury. Nie jest to zapewne łatwe, ale jest możliwe i wydaje się po prostu konieczne, jest to jedyna droga wyjścia z sytuacji, która już od lat wykazuje wszelkie symptomaty katastrofy kulturowej.